



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowieży i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Psalm Odkupienia *).

Panie, ja widzę czasem drogi Twoje,
I z taką wielką widzę je jasnością,
I z taką dziwną czuję je pewnością,
Jak gdyby niebios Twych zwarte podwoje
Przed duszą moją ku prawdzie otwartą
Stały się jedną przeczytelną kartą.
I przed wielkością dróg Twoich się kórze,
Choć zmiłowania Twego wzywam Boże,
I do stóp Twoich w pokorze się chylę
Za tyle łaski i za dobra tyle,
Któręś Ty, Stwórca wlał w duszę stworzenia
Przez krzyż i ciernie ziemskiego istnienia.

Boś Ty mi, Panie, życia mego drogi
Usłał w zaraniu i w ciernie i w głogi,
I krzyż nieść kazał na życia Golgotę
Przez pustyń ziemi nadmierną spiekotę, —
A kiedym idąc w taką męki drogę
Wołała z bólu: „Nie wytrwam, nie mogę!..“
Tyś wyrzekł: „Musisz! i wytrwasz“ i oto
Krzyż ten dźwignęłam na moje ramiona,
I idę, w niebios podwoje wpatrzona
Z myślą o Tobie, marzeniem, tęsknotą,
Przez życia ciernie aż po raję wrota,
Kędy mnie woła ta moja Golgota.

W tej drodze krwawej dusza moja rośnie,
I rośnie oczu moich jasność błoga,
I serce moje rwie się tam radośnie
Kędy wśród życia szlaków widzę Boga!
Na żywe oczy Pana tam oglądam,
Widoku Jego wciąż pragnę, wciąż żądam,
Bo takam tęskna i niebios spragniona
I takam mała i nędzna, a wielka,
Że z oczu moich cielesna zasłona
Spada niekiedy jak rosy kropelka,
Gdy mem pragnieniem do niebiosów progu.
Sięgnę ku Stwórcy memu, memu Bogu.

Wtedy ja, Panie, ach czuję, że żyję,
Bo serce wtedy w mojej piersi bije
Wszystkimi tętny, jakimi stworzenie
Przez Stwórcę swego czuje swe Zbawienie,
I obie, Panie, ja wyciągam ręce
Ku Tobie, w pragnień tej rozkoszy męce,
A w sercu mojem taka wzbiera miłość,
I taka wielka Zbóstwienia potrzeba,
Że poprzez bólów i mąk mych zawilość
Czuję, żem z ziemi już dosięgła nieba,
I padam czołem w prochu mego pyle
Za tyle szczęścia i za łaski tyle.

Ja widzę, Panie, widzę drogi Twoje,
Widzę ich straszną życiową pochyłość,
I widzę bytu nienawistne boje
W świecie, do życia zrodzonym, przez miłość...
I cierpień ludzkich ja widzę Gehennę,
Widzę bezmiernych mąk życia katownie,
I widzę bólu otchłanie bezdenne,
Gdzie z ognia męki—ofiar życia głównie,

I gdzie z Ofiary powstają szyderce,
Zaprzacze Boga i prawdy bluźnierce,
Trwożne i małe, w dusz nędzy bezkrwiste,
Jak gdybyś za nie Ty nie cierpiał, Chryste,
Jak gdyby krwawa męka Twego ciała
Nie za nie niebios ofiarą się stała!

I Twą drabinę widzę Jakóbową,
Po której szczeblach biedna, nędzna, mała,
Ludzkość się w prochu oczyszcza, by głową
Do stóp Twych boskich tam się przedostała,
A po drabinie tej Twoi anieli.
Tyle prób grobu i grzechu rozsieli,
Że biedna ludzkość w drodze nieraz tonie
Zanim zapłacze na Dawidów łonie,
Na łonie z fałszu oczyszczonej treści,
Kędy cel życia ziemskiego się mieści
Bo wielkie, Panie, Twych wyroków drogi,
I długie szczebli drabinowych spójce,
I ostre kolce, co nam krwawią nogi
Tam, kędy ducha naszego Ogrójce.

By się na szczebel ducha dostać wtóry,
O stopień wznieść się ku niebios wyżynie,
Przejszć trzeba męki życia i tortury,
Jakich nie szukać w czyścowej dziedzinie,
Bo ziemia czyścem naszym i otchłanią,
Boś Ty nas, Panie, po to zesłał na nią
Byśmy w bezmiernej więzów ciała męce
Wyżej i wyżej wyciągali ręce,
Ku szczytom samym naszego istnienia,
Ku którym woła Twoja nas precz żenie,
Przez próby życia do wrót przeznaczenia,
Kędy jedyne nas czeka zbawienie.

*) Z Cyklu „Mystica.“

Jedyne, Panie, bo z podwyższeń ducha
Płyną dopiero nam w serca balsamy,
I spływa w dusze ta wielka otucha,
Której poza tem znikąd nie zaznamy,
Bo nie zaznamy tej cudownej rosy,
Która nam rany ochładza i goi,
Spieczona usta nektarami poi,
Jeśli się od nas odwróć Niebiosy,
I jeśli w dusze nasze światłość błoga
Nie spłynie prosto z rąk Stwórcy i Boga.
A to jest stopień Jakóbowy wtóry,
Na który wiodą mąk ducha tortury.

Na szczybel trzeci gdy mnie wezwiesz, Panie,
Łaski Twojej wielką, przepotężną mocą,
Gdy się tam wzbiję na Twoje wezwanie,
By zerwać z ziemi małostką i nocą, —
Kędy Tve Boże, ojcowskie oblicze
Stanie przedemną w łask aureoli
I wiecznej prawdy ukaże mi znicze,
I zapomnienie wszystkiego, co boli...
Pamięć niech tylko tego mi zostanie,
Żeś Ty mi Ojcem był, Stwórcu i Panie,
Tu, na tej ziemi, gdzie cierpieć bezdennie
W mąk Odkupienia mojego Gehennie.

Helia.

Stanisław Nałęcz - Ostrowski.

Idealy niewieście poetek polskich

Studjum etpčno literackie.

W poezji wszystkich ucywilizowanych ludów i wszystkich czasów, obraz kobiety występuje jako zjawisko świetlane, — jako uwidomienie w postaci ludzkiej idei piękna, tkwiącej w głębi ducha naszego: — jako kwiat i korona stworzenia — jako poezja żyjąca. Każdy rodzaj utworów poetyckich w właściwy sobie sposób kreśli przed nami ów obraz uroczy, otaczając go aureolą promieni i światła: liryka na jej cześć śpiewa hymny miłosne i — jak słowik rozkochany w róży — wylewa dla niej perłowe trele z głębi swej zachwyconej i rozżęknionej duszy; sielanka piękność jej stroi w girlandy świeżego wiejskiego kwiecia i wrażliwą jej duszę dostraja do kamertonu ogólnej harmonii przyrody; dramat przeprowadza dyssekcję subtelnej jej serca i idealizuje walkę najdelikatniejszych jej uczuć; wreszcie — poważne nawet epos otacza zazwyczaj postać niewiasty glorią czci i uwielbienia, oddając jej miejsce poczesne przy ognisku rodzinnem i w społeczeństwie. Zawsze geniusz ludzki ze czcią pochylał swe namaszczone czoło i kornie zginał kolana przed niewiastą, składając hołd jej piękności i korząc się przed wyższością moralną jej ducha.

Nie idzie za tem, aby raz utworzony ideał kobiety trwał w pierwotnych swych abrysach niezmiennie przez ciąg wieków; przeciwnie — rysy poszczególne tego ideału przerabiały się zwolna w miarę podnoszenia się ludzkości na coraz wyższe szczeble rozwoju; ogólny jednak obraz był zawsze pełen światła i blasków promieni. Świat helleński — tak wrażliwy na piękno cielesne — czcił religią piękną kobietę: była ona dlań przedewszystkiem uduchowionym posągiem o kształtach klassycznych; dla syna Romy była kobieta kosztowną a ozdobną czarą, pieniącą się brylantowymi iskrami upoju; po za tem jednak i grek i rzymianin umieli ocenić i uczcić w kobiecie zalety umysłu i cnoty jej duszy, dzięki którym mogła spełniać wysokie zadanie w społeczeństwie. Świat staro-chrześcijański, zwróciwszy się wyłącznie ku pięknu du-

chowemu natury ludzkiej, — przyprawił kobiecie skrzydła serafów, na których mogłaby ulecieć po nad świat zmysłowy. Szczególny jednak kult kobiety — jako wyobrazicielki piękna cielesnego i duchowego, datuje od czasów romantyki średniowiecznej: wówczas to kobieta i piękność stały się synonimami; tłumy wędrownych śpiewaków-trubadurów do wtóru lutni śpiewały hymny miłosne na cześć sentymentalnych kochanek, które po krążgankach w blaskach księżycy upajały się smętną melodią prowansalskiej pieśni. Nowożytny wreszcie romantyzm rozwodził całą pełnię bogactwa natury niewieściej, nieprzebrane skarby uczuć jej serca i wynosił nieraz kobietę na te wyżyny, z kąd już słyhać chóry prorocze aniołów i z kąd dojrzeć można gwiazdy losów i przeznaczeń dziejowych.

W chórze hymnów na cześć kobiety przez poetę śpiewanych, w kalejdoskopie onych świetlnych, nawpół anielskich postaci dają się wprawdzie niekiedy słyszeć harmonie kłójące dyssonanse, przewijają się gdzieniegdzie mniej jasne cienie — ogólne jednak wrażenie, jakie się wylania, jest to wrażenie światła i harmonii. Inna rzecz, o ile utworzony w poezji ideał odpowiadał rzeczywistości, sądzę nawet, że wolno z pewnością twierdzić, że jej ściśle nie odpowiadał, co się łatwo da zrozumieć, jeśli się weźmie pod rozważenie trudność, a nawet niemożebność stworzenia przez poetę zupełnie przedmiotowego ideału kobiety.

Tworząc ideał kobiety, poeta nie może się zupełnie wyzwoić z pod tego czarującego wpływu, jaki na jego umysł i serce wywarła ta lub inna kobieta; obdarzy on go, — ten niby obiektywny ideał — dodatkami, a nawet ujemnymi cechami kobiety mu bliższej, drogiej lub pamiętnej, — bo wiem nawet wady kochanych przez nas osób bywają nam miłe. Cały raj rozkoszy, doznanych od kobiety, całe piekło bólów namiętnych i przebytych męczarni wstrząsać będzie nerwowym systemem poety, kierować będzie bezwiednie jego ręką, rzeźbiącą posąg w chwili twórczości, a te mimowolne drgnięcia jego ręki, skażą czystość oderwaną tworzącego się ideału i nadadzą mu charakterystyczne rysy owych niezapomnianych...

Inna rzecz, gdy ideał niewieści tworzy poetka-kobieta; z samej istoty rzeczy będąc wolną od owych wpływów sercowych, może ona z większą bezwzględnością, jasniej i obiektywniej zająrzeć do serca i do duszy niewieściej.

W studium niniejszem przytoczę cały szereg poetek naszych, zaczawszy od najdawniejszych czasów do najnowszych i z ich utworów wybiorę rozproszone myśli, poglądy i zdania, dotyczące się kobiety, aby potem z tych rozrzuconych rysów złożyć całość — ideał kobiety, jak go pojmowały w czasach różnych poetki nasze; postaram się więc wykazać, w jaką aureolę cnót i zasług ubierały one kobietę, jakie jej wyznaczały zadanie do spełnienia w życiu, czy sadowiły ją przy ognisku rodzinnem jako arcykapłankę uczuć rodzinnych i tradycji, czy wyprowadzały na szerszą widownię i wskazywały rozległe horyzonty pracy dla społeczeństwa.

Zanim jednak przystąpię do tego, postaram się w ogólnych zarysach narzucić tło epoki, aby ujrzeć, jak odbijać będą od niego owe ideały, oraz naszkicować typ dawnej niewiasty polskiej, co da nam później możność porównania ideałów z rzeczywistością.

Od najdawniejszych przedhistorycznych czasów, niewiasta u Słowian była uważana na równi z mężczyzną i otaczana czcią, której objawy musiały być proste, zarówno jak prostem było życie ówczesne; nigdy zaś niewiasta nie zostawała na tym poniżającym szczeblu niewolnictwa, co u narodów wschodnich. U nas w przedchrześcijańskich jeszcze czasach niewiasta czczona była jako matka rodziny, a w życiu społecznem miewała nieraz równe z mężczyznami prawo: tak np. widzimy, że wdowa w zastępstwie męża zasiadała na wiecu, przyjmując czynny udział w obradach nad dobrem publicznem, — przykład zaś Wandy wskazuje, że wynoszoną była na najwyższy szczybel dostojęstwa,

na tron książęcy i dzierżyła w swem ręku władzę i rząd nad całym narodem.

Z wprowadzeniem chrześcijaństwa i z ucywilizowaniem stopniem obyczajów, stanowisko niewiasty w domu i w społeczeństwie podnosiło się również coraz wyżej, zawsze jednak przechowywał się niezmiennie ów najdawniejszy typ niewiasty polskiej — jako matki rodzinnej — typ, który, przetrwawszy całe wieki i walki różnorodnych prądów i opinii, — doszedł w nieskażonej i niepokalanej swej czystości do najbliższych nam czasów. Wiek XV i XVI t. j. epoka, w której ostatecznie urobiły się i ukształtowały cechy czysto-narodowe, przedstawia nam kobietę, jako powszechnie czczoną matronę, strzegącą znicza domowego — jako godną Matkę rodziny.

Dwie podówczas były w życiu drogi dostępne dla kobiety — dwa powołania do wyboru: albo poświęcenie życia całego służbie Boga w zakonie, w ciszy murów klasztornych praca cicha a święta, pełnienie uczynków miłosierdzia i wreszcie modlitwa, — albo założenie przez zamążpójście własnego ogniska — rola pomocnicy męża i matki, przysparzającej społeczeństwu i krajowi dzielnych i szlachetnych obywateli. Do takich celów i zadań życia musiało też być przystosowane wychowanie domowe dziewcząt; było ono skromne — surowe — i praktyczne. Zaczynało się przedewszystkiem od wpojenia w młode a wrażliwe serce najpierwszych zasad religii — cnót i zasad moralnych, następnie przyuczano do pracy i zatrudnień około gospodarstwa domowego, oraz robót ręcznych. Takie wychowanie otrzymywały dziewczęta szlacheckie i pańskie — z tą różnicą, że nauka książkowa pierwszych kończyła się zazwyczaj na czytaniu i pisanii w języku polskim, — drugie zaś uczyły się także po włosku, a w czasach późniejszych po francuzku i niemiecku. W ten sposób wychowana dziewczę, wyszedłszy za mąż, czuła się już doskonale wdroną w tryb zajęć gospodarczych — i to nie tylko w zakresie gospodarstwa domowego — nie tylko że umiała pilnie i zabiegliwie krzątać się około chowu bydła, około nabiału, kuchni, około smażenia z owoców konfitur, soków, przygotowania wódek i przygotowywania leków z ziół i traw ogrodowych i polnych — lecz nieraz w zastępstwie zajętego wojną lub sprawami publicznymi męża cały zarząd dóbr rozległych spoczywał w jej ręku. I nie tylko że wydoływały niewiasty nasze tym trudnym a ciężkim obowiązkiem — przeznaczonym już zda się przez samą przyrodę dla mężczyzny — lecz nieraz umiały swoją zabiegliwość i oszczędnością podnieść dobrobyt, który mężka nieogłędność zachwiała. Historia przekazała nam z owych czasów kilka imion niewiast z możnych rodów, które zasłynęły jako dzielne i rzędne administratorki dóbr wielkich — że przytoczę tu choćby taką Reginę Żółkiewską, córkę jej Zofię Daniłowiczową i wnukę Teofilę Sobieską, odznaczającą się nadzwyczajną praktycznością; przemilczę tu z konieczności muszę o całym owym gminie średnioszlacheckim, których cicha praca około gospodarstwa utonąła w niepamięci wieków. Z równą troskliwością macierzyńską zajmowały się niewiasty nasze wychowaniem synów i wierały na nich ogromny wpływ moralny, a przez nich na całe społeczeństwo. Gdy w XVI wieku zaczął się rozpowszechniać w możniejszych rodach zwyczaj wysyłania dorastających synów dla dokończenia edukacji za granicę — kochające serca matek czuwały z tem większą troskliwością nad oddalonymi, opatrywały odjeżdżających instrukcjami i przepisami, mającymi na celu utrwalenie w nich obyczajności i zasad moralnych zaszczerpionych, od dziecka zachęcały listownie do szczerego przykładania się do nauk. W epoce reformacji i rozbudzenia się sporów religijnych niewiasty nasze czynny nie raz przyjmowały udział w propagandzie religijnej, że wspomnimy tu choćby tylko o Annie Aloizie Chodkiewiczowej, która nie tylko że sama, odznaczając się wielką pobożnością, wypełniała najzarliwiej praktyki religijne jak to biczowanie się, noszenie włosienicy i t. p. umartwianie ciała, lecz zakładała szkoły w celu nawrócenia

dzieci żydowskich i muzułmańskich, zbierała dziewczęta polskie na naukę religii i t. d. Pole do przyjęcia udziału w sprawach publicznych niewiastom naszym odkrył koniec wieku XVII, kiedy to na dworze Ludwika i Maryi a potem Maryi Kazimiery zaczęła kwitnąć intryga. Przykład szedł z góry—od królowych—od pań dworskich—cudzoziemek, rozchodził się coraz szerzej naprzód na niewiasty możnych rodów, potem zstępował do warstw niższych; wtajemniczone w politykę dworów zagranicznych te panie popierały ambasadorów—i każda przez swe wpływy stara się wyjednać protegowanym przez siebie urzędy i posady korzystne lub starostwa. Wogóle koniec wieku XVII i czasy Saskie wywarły nader ujemny wpływ na społeczeństwa nasze i przyczyniły się do rozluźnienia zasad moralnych, jedną z cech tego ujemnego wpływu była jakaś dziwna apatia, jakieś zubożenie ku wszystkiemu, co swojskie, co w połączeniu z wciskającą się wszelkimi szparami do kraju modą francuską groziło zupełnym zatraceniem cech narodowych i wynarodowieniem w jak najszerszym słowa tego znaczeniu. Wtedy to pierwszorzędną a zaszczytną rolę odegrały niewiasty nasze stojąc na straży czystości dawnej obyczajów i tradycji; wpływ ich na społeczeństwo był ogromny—a skutki dodatnie tego wpływu miały nieobliczalną doniosłość. Nie brakło w tej smutnej dobie również niewiast, które chlubnie zaznaczyły swe imiona na szerszym polu zasług obywatelskich—a w epoce następnej wielkich reform kobiety pierwsze hasła postępowe ze sfery rozumowań oderwanych wprowadzały w czyn i w życie, podnosząc oświatę i dobrobyt ludu miejskiego. Ks. Anna Jabłonowska wydaje dla dóbr swoich obowiązującą wójtów i poddanych ustawę, która ma na celu podniesienie bytu i umoralnienie ludu. Wcześniej nieco w tym samym kierunku pracę podejmuje ks. Barbara Radziwiłłowa, która postępowymi wyobrażeniami i zastosowaniami do nich czynami daleko wiek swój wyprzedza.

Przebieżawszy pokrótce dzieje społeczeństwa naszego w przeciągu paru ostatnich stuleci, widzimy, że niewiasty dawne były albo matkami rodzin i dobrymi żonami, pomagającymi dzielnie mężom w ich pracy gospodarczej, lub w ich zastępstwie rządzącymi i administrującymi dobrami,—damami dworskimi albo wreszcie poświęconymi służbie Boga zakonnicami, które w ciszy i ukryciu klasztornej pełniły uczynki miłosierdzia chrześcijańskiego i nauczały dzieci. Zajęta te wypełniały podówczas całe zadanie kobiety w rodzinie i w społeczeństwie i przy trwaniu istniejących wówczas stosunków ani zmodyfikować się ani tembardziej rozszerzyć się mogły. Dopiero ze zmianą pierwszorzędnym warunków bytu, gdy zabrakło dworu, na którym roilo się dawniej tyle niewiast, gdy klasztory również nie mogły już dać schronienia tak liczny jak dawniej tysiącom—kobiety ujrzały się w konieczności rozszerzenia zakresu swej pracy—jako środka zabezpieczenia bytu sobie lub rodzinie. Głównym a nieodzownym warunkiem tego rozszerzenia pracy jest wykształcenie odpowiednie, wyższe i głębsze, niż to, jakie otrzymywały kobiety dotychczas. Od tego też czasu datuje ruch emancypacyjny wśród kobiet, który o ile nie stanie na przeszkodzie kobiecie do wypełnienia najświętszych jej obowiązków w rodzinie i społeczeństwie, o tyle może wydać pożyteczne dla niej owoce.

Postarałem się w możliwie szerszych zarysach nakreślić sylwetkę niewiasty naszej, jaką się nam ona przedstawia na tle kilku stuleci w różnorodnym oświeceniu idei przewodniej z każdej poszczególniej epoki. Obaczmy teraz, o ile sylwetkom tym, którym starałem się nadać jaknajwierniejsze rysy rzeczywistości, odpowiadają ideały kobiet, jakie znajdujemy w utworach poetek naszych. Żyjąc na przesłonięciu dwóch przeszło wieków, widziały one różne typy niewiasty polskiej, w zależności od zmieniających się zwolna warunków, prądów i tego, co nazywamy duchem czasu, nie więc dziwnego, że urobiły sobie każda odmienny nieco ideał niewiasty—tembardziej, że na wy-

tworzenie ideału okazują wpływ pewien subiektywne cechy i właściwości psychicznej organizacji autorki.

Piotr Chmielowski w przedmowie do swych „Autorek polskich“ zaznacza jako fakt powszechnie stwierdzony, że współudział kobiety w życiu umysłowym społeczeństwa objawia się w tych chwilach, kiedy „rytm rozwoju przyspieszonym biegnie ruchem i bywa pobudką do wystąpienia“ na pole pracy mniej śmiałych pracowniczek. Chwilą takiego rozbudzenia się ruchu umysłowego był u nas okres trwania najprzód humanistycznego, a następnie reformacyjnego prądu. Wśród fal ostatniego wpłynęło na widownię imię pierwszej poetki polskiej, Zofii Oleśnickiej z Pieskowej Skały.

Znamy jedną tylko jej pieśń treści religijnej, zatytułowaną: „Dziękowanie Panu Bogu“, którą nie wiedzielibyśmy nawet czyjemu przypisać autorstwu, gdyby litery początkowe niektórych wierszy nie składały imienia, nazwiska i miejsca pochodzenia poetki. Szczupły zapewne zasób materiału co do zajmującej nas kwestyi znajdziemy w tej pieśni—ze względu jednak chociażby na to, że jest to utwór najpierwszej poetki polskiej, warto się nad nim zastanowić i wyciągnąć z niego charakterystyczniejsze myśli autorki o stosunku niewiasty do Boga i do świata. Pieśń rozpoczyna się od słów następujących:

„Zochotnem sercem Ciebie wystawiam mój panie, Żeś Ty okiem łaskawem raczył wejrzeć na mnie, Nie zgardziłeś pokorą służebnicy Swojej, Która się cała daje w moc opiece Twojej.“

Jako więc najpierwszą i najgłośniejszą cnotę niewiasty poetka wynosi *pokorę* przed Bogiem, dla której to cnoty raczył Bóg okiem miłosiernym wejrzeć na służebnicę swoją,—i przeciwstawia w strofie następnej pokorze tej *pychę* i zarozumiałość „filozofów i pysznych mędrców świata tego,“ którzy „wszystko na rozumie swym sadzą,“ za to też Bóg zakrył przed ich wzrokiem grzesznym „tajemnice królestwa wiecznego“ i nie onych pysznych mędrców raczył powołać, ale „nas, dziatki maluchne,“ przed którymi rozsypał „nieprzebrane skarby łaski Swojej.“—Błaga następnie Boga, aby łaskawie utwierdził ją w dobrem i dał jej wytrwanie w prawdzie Świętej, oraz pomógł do gorliwego wypełniania obowiązków:

„Byśmy w tej prawdzie świętej statecznie wy- A swoich powinności pilnie przestrzegali...“ [trwali,

Rozważa w końcu, o ile jest korzystniej w ciągu życia zasługiwać dobrami uczynkami na nagrodę wieczno-trwałą, niż oddać się światu i jego sprawom, które są doczesne i marne i odwodzą nas przytem od pieczy o szczęściu wiecznem; oto ów czterowiersz:

„Lepszeć to nam staranie skarb taki gotować, Którego mól ani rdza nie może zepsować, Niż świata obłudnego sprawami się bawić, Który dobra wiecznego może nas pozbawić.“

Pokora więc dziecięca względem Boga, wzgarda ku sprawom i obłudzie światowej, wypełnianie sumienne obowiązków swego stanu, ciągłe doskonalenie się w dobrem—oto są cnoty, które pragnęłaby Oleśnicka widzieć w każdej niewieście. Ideał przewodnią w życiu powinna być przedewszystkiem myśl o zbawieniu wiecznem i całe życie należy poświęcić staraniu ku osiągnięciu tego zbawienia.

Ideał to—jak widzimy—wysoki, pojęty w duchu iście chrześcijańskim—daleki jednak od krańcowego ascetyzmu pierwszych wieków. Poetka nie wymaga od niewiasty usuwania się zupełnego ze świata w zacisze murów klasztornych, w pustelniczą samotność;—owszem, zalicza do jej obowiązków podjęcie walki życiowej wśród świata i sumiennego dopełnienia powinności stanu.

A teraz przywołajmy sobie przed oczy typ przeciętnej niewiasty polskiej współczesnej naszej poetce, ów typ matrony głęboko pobożnej i z całą surowością stosującej swe życie do za-

sad i przepisów swej religii świętej, wypełniającej gorliwie obowiązki żony i matki—a przekonamy się najdobitniej, że ów ideał niewieści, skreślony przez Oleśnicką, jeżeli nieutożsamiał rzeczywistości współczesnej, to w każdym razie bardzo był do niej zbliżony.

(Dalszy ciąg nastąpi),

LISTY

TEOFILA LENARTOWICZA

do Eli (Jzabelli)

(od 1871—1893 r.).

(Dalszy ciąg).

V.

Florencya, 13—1—81.

Via Montebello, N 24.

Najczcigodniejsza Pani! Nie patrz, co się dzieje w około Ciebie, bo Ci ramiona opadną. Wiem, jaki stan umysłów, jaka nędza moralna i apatia,—z nikim nie mam pomówić po dawnemu. Szczęśliwa Żmichowska, zazdrościć jej nie żałować *).

Pracuję, najłaskawsza Pani, bo gdyby nie praca, przyszłoby zwaryować w tej pustce zupełnej, którą tylko cienie bohaterów i przyjaciół zaludniają—z niemi rozmawiam w pół ślepy.

Pomnik dla Stanisława **), mój Boże, będzie to glina tylko wypalona, a i to kosztować mnie będzie do stu franków—kończę, wyrabiam, siedzę nad tem, a jeśli rodacy moi każą zrobić fotografię, takową prześlę Ci, najłaskawsza pani.

Będzie to płaskorzeźba wielkości metra i 20 centymetrów w ramach z marmuru czarnego, obraz składający się ze dwudziestu kilku figur; kompozycja podoba się Włochom, o naszych ja nie mówię, bo ich już chyba nie ma.

P. Julię widziałem i powiedziałem jej, na kiedy będzie grobowiec i że to najuboższy własnym kosztem i własnymi siłami robi.

Edycy krakowskiej znać nie widział Pani pism moich, gdzie się Wanda znajduje, ależ to u Was dziś prześladowają własni rodacy serdeczną literaturę, jeżdżą od miasta do miasta i rozwodzą dżumę śmiechu z natchnień pocziwowych.

W rękopismach leżą u mnie rzeczy do druku przygotowane: 1) „Kościszko pomiędzy Szwajcarami,“ 2) „Wenecya, Padwa, Weronia,“ 3) „Liryki,“ 4) Ostatni rycerze,“ rapsody z czasów króla Jana. 5) „Dacya.“ 6) „Założenie Poznania.“

Nadto pracuję nad wykładem naszej literatury Włochom w Bolonii, gdzie miałem już dwa odczyty, przyjęty jak pewniebym w kraju nie był.

Na życie zarabiam jako rzeźbiarz, boć z tego prędzej coś kapnie jak z literatury.

A teraz cóż Ci więcej powiem, najzaciejsza Pani; oto że jak już będzie wypalona moja robota na grób, jeśli nie popeką w piecu i wszystko nie przepadnie, bo i to być może, tedy o dniu wmurowania (powinno być około 20 Marca już na miejscu) doniosę, na mszę dam za jego duszę i za duszę Narcyzy, Karola Balińskiego, Seweryna Goszczyńskiego i poproszę, abyście się o tej godzinie pomodlili. Księża kościoła S. Lorenzo pozwolili na wmurowanie w Chiostro, to jest na dawnym Camposanto, czyli cmentarzu klasztornym, przez który dziś wszyscy przechodzą i gdzie są groby tej rodziny, a na jednym czarny z paciorków wianek wisi.

*) Żmichowska umarła w wigilię Bożego Narodzenia r. 1876.

**) Stanisław B. Włoch z Florencyi był mężem wspominanej w korespondencji P. Julii.

Pomódlcie się za ostatnie sieroty wielkiej myśli, domierające po świecie przy wivatach Bartelsów, nowych poetów i drugich tego rodzaju mężów wesołego usposobienia.

Przyjm, Zaczna Pani, wyrazy najgłębszej czci.
T. Lenartowicz.

VI.

Florencja, 4—1—82.

Najzaczniejsza Pani!

W dniu dzisiejszym wmurowany został w kościele florenckim S. Croce, (bok pomników Paciniego, kompozytora oper, Sabatellogo, malarza i innych włoskich znakomitości, bronz mój poświęcony Stanisławowi; za kilka dni zejda się jego koledzy wojskowi, oddać mu cześć w tem miejscu. Tak więc nareszcie udało mi się rzecz wykończyć i na wieczną pamiątkę pozostawić, jeśli co może być wiecznem, co bądź przetrwa te złe czasy, a w lepszych o dzisiejszych przypomni.

Skromny ten pomnik znajduje się w Chiostro pod arkadami, przed którymi rosną cyprysy, wśród których bieleje posąg Jeremiasza proroka. Cicho tu i pięknie tak, że aż chęć bierze umrzeć, żeby w takim spocząć schronieniu.

Fotografię, zrobioną z gipsu, przesyłam Pani z samej płaskorzeźby; chciałem ją kazać zrobić z bronzu cyzelowanego w ramach rzeźbionych, ale niepodobna było z powodu braku oświecenia w miejscu, w którym się znajduje, do tego stopnia, że aż musiałem kazać złocić małe niszki, w których się figurki znajdują, żeby jaki taki relief miały. Refleksa od białego marmuru i brak promieni słońca sprawiają, że ramy straciły na efekcie, który się jedynie cieniami wydobywa. Życzyłem sobie innego miejsca, a zgodzić się musiałem na takie, jakie komissya dała; niemile to bardzo dla artysty, cóż robić, zawsze jednak oglądający mogą widzieć rysunek i mieć pojęcie o pracy.

Pod tym pomnikiem mógłbym podpisać: „al fortunato disgraziato“—myśląc o sobie, bo jakże to moja dola. Wieniec zawieszony przez p. Julię, kazałem tu przenieść i pomieścić, a żołnierze swój metalowy także zawieszają.

Kto oddaje duszę swoją, ten ją odnajdzie, i on ją całą odnalazł po krótkiej chwili zgonu—pokój mu i jasność wieczna.

A teraz cóż więcej dodam? O Narcyzie wspomina Pani i jej pośmiertnem dziełku—ach! jakże jej zazdroścę, patrząc na moje roboty, którym przyszłość obiecuje co? zapomnienie.

Racz Pani przyjąć wyrazy wysokiej czci, z jaką pozostaję.

Najniższy sługa

T. Lenartowicz.

Cieszę się bardzo, że choć aby jedna Pani znalazła coś, co jej się w mojej „Wandzie“ podobalo—nikt o tem nie wspomniał i tak to bez żadnego przeszło wrażenia, a przecież są tam rzeczy niezupełnie złe; cóż robić, taka już moja fortuna, że uderzając w dzwon, nigdy głosu jakiegobym pragnął, nie dobędę; nie wina to dzwonu, który rozbitym nie jest, ale mojej nieudolności. Bądźmy pokorni i rozmyślajmy, czy nam się jeszcze kiedy nie uda; ale wątpię już bardzo, czas mi do cieniów, czas wszystkiemu i wszystkim powiedzieć dobranoc.

Przy nowym roku nie mam wiary w życzenia dla siebie, mam ją dla tak szlachetnych istot jak Pani, więc życzę jej, jeśli nie dnia, jeśli nie wschodu, to choć jutrzeńki, zapowiadającej dzień szczęśliwy, niechaj tu pięknie świeci w jej okienko.

Niezmiernie ciężkie przechodzę przykrości—niestety, od swoich—osłabienie gardła i piersi nie dozwala mi przyjąć ofiarowanego miejsca w Bolonii, tak więc nie masz mi Pani czego winszować, a szczęśliwy, kto już skończył.

(Dopisek późniejszy). Dnia 10 b. m. deputacya zbierze się około pomnika Stanisława, przy czem będą wypowiedziane słowa odpowiednie

do okoliczności, które prześlę najzaczniejszej pani. Brat pani Julii jest zaproszony, widział on już nagrobek i o tem siostrze doniósł. Kościół udziału w takich zdarzeniach nie bierze.

VII.

Florencja, Via Montebello, 24.

18—2—82.

Moje drogie, najzaczniejsze Panie! dzięki Wam z życzliwe słowa—nie dziwcie się, jeśli zwątpienie czasem się w moje pismo zabłąka; gdybyście były na mojem miejscu...

Zadnego moralnego poparcia znikąd, jakby się uwzieli—starzy zbyt dumni, posyłam książki moje, gazety, i czy uwierzycie, nawet odpowiedzi nie odbieram. że ich doszło, a wiem, że doszło.

Do wykładu o Balińskim Karolu potrzebowałem szczegółów z jego życia; pisałem o nie do brata jego Aurelego B., zamieszkałego w Galicyi i odebrałem odpowiedź, że szczegółów nie udziela żadnemu literatowi (sic) z powodu, że o innych piszą po dziennikach, a o Karolu nie piszą—a nb. że tego pana Aurelego znałem kiedyś i że przecie wiedzieć by powinien, jaki użytek z udzielonych wiadomości bym zrobił. Cóż począć. Pycha wściekła, szalona ze wszystkich stron wieje, ofiaruję krzywdę Panu Bogu i idźmy dalej

Od p. Bohdana Zaleskiego czy myślicie, że aby słowo—on tak święty i z *epoki natchnienia*: pan Józef bardzo zimno, do kogoż się obrócisz?

Z przejeżdżających raz na dwa lata ktoś zajrzy—u wód uciekają od siebie. Kiedyś stęskniomysłyszeć mowę polską, do jednej jaka tam była (u wód w S. Pelegriño, koło Bergamo) familii polskiej posłałem bilet przez mojego doktora z zapytaniem, czy przyjmą moją wizytę, na co odpowiedziano mi, że mnie nie znają i wreszcie co mam za interes.

We Florencyi Polaków niema—jest nas dwóch: ja i Wołyński, którzy się widujemy raz na dwa tygodnie; komuż więc powierzać myśl polską, do kogo się obrócić, kogo poradzić, od kogo choćby słowo w swojej kochanej mowie usłyszeć?

Nowo wydane moje „Rytmy“ więcej mają wartości od poprzednich, a jak to przyjęto? Włochom rozpowiadam o Polsce. Katedry (w Bolonii) przyjął nie mogłem z powodu bardzo słabych piersi, zmęczonych chronicznym katarem i bronchitami; żal mi bardzo, bo młodzież okazała mi wielką życzliwość—będę jednak dojeżdżać i od czasu do czasu mówić o naszej literaturze, dziś niestety poniewieranej przez naszych krytyków.

Przy odkryciu kamienia Stanisława powie-działem kilka słów, o których wspomina załączony wycinek z „Opinione Nazionale“; pięknie mówił Muratori, ale jak jedna tak druga mowa chyba że drukowane nie będą, bo nie ma za co...

A teraz cóż ci więcej powiem, droga Pani, i Wam wszystkim, najzaczniejsze polki: że będzie wojna, z której nie dla nas dobrego się nie spodziewam—i to mi najcięższe. W niedalekiej przyszłości tam się krwawe podnosi widmo rewolucyi europejskiej, której płomień spali wszystko, co zrobiły wieki cywilizacyi, a na popiołach włożyć się będą kółka ludzi, z zamiarem tajnym założenia ogniska, kościoła, jakiegoś porządku—potem będzie lepiej... kiedy w niezmierniej nędzy sumienie się obudzi i lży odnajdą.

Co za piękny czas, a mnie piersi bolą mocno i od paru dni nie wychodzę.

Przyjmijcie wszystkie trzy uścisk przyjacielskiej i braterskiej ręki.

Teofil.

(Dalszy ciąg nastąpi).

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Gdy to wszystko się działo z panem Janem w obozie Maksymiliana, chorąży tymczasem, zatęskniwszy za swoją Magdzą, kiedy już uspokoiło się nieco w jego okolicy, wybrał się po nią w drogę do Krakowa.

Magdzia, ujrawszy go w drzwiach, skoczyła mu radośnie na szyję, nie spostrzegając nawet zrazu chmury na jego czole, której jej widok nie mógł całkiem rozproszyć.

Chorąży począł natychmiast dziękować kasztelanowej za opiekę, a gładząc córkę po głowie, rzekł, przypatrując się jej:

— Widać, że ta koza nie bardzo tęskniła za domem,—choć tak niby coś trochę pobladła... A może mi się tylko tak zdaje...

— A ja wam zazdroścę, panie bracie, że macie w domu takie serdeczne ptaszę, i nie wiem, czy je oddam tak prędko, jak wam się zdaje może.

— Mnie, ciotuchno, było tak dobrze z wami! —zawołała Magdzia, rzucając się na szyję kasztelanowej. A jeszcze do tego teraz, kiedy Ewcia przybyła.

Chorąży, nie wiedząc o niczem, spojrzął pytająco na kasztelanową. Magdzia poczęła mu opowiadać z uniesieniem oswej nowej siostrzytę, kasztelanowa także ze swej strony dodawała objaśnienia. Z wielkiem jednak zdziwieniem dziewczęcia, ojciec nie podzielał tak bardzo jej zachwyty; na wszystkie jej wykrzykniki pokręcał tylko węża i chrząkał, co bardzo w duchu niecierpliwiło Magdżę. Ale myślała sobie: „Tatuńcio mi nie wierzy, ale niech—no tylko Ewcia się ukaże, to zobaczymy! Musi ją tatuńcio pokochać, tak jak i wszyscy!“

Tymczasem zacięty szlachcie myślał z niezadowolaniem:

— To pewnie wielkie państwo,—zupełnie tego dla Magdzi nie potrzebuje; zbalamucą mi dziewczynę, a ja tego nie chcę; dość już ze mnie tego państwa; uważali, że szlachcie dla nich za niski, niech i tak będzie; i ja też nie nie chcę mieć z nimi wspólnego. Wprawdzie kasztelanowa zająca białogłowa, ale reszta jej rodziny—pożal się Boże! Więcej tam pychy, niż zasługi!

I w takim usposobieniu czekał ukazania się Ewy.

Ale gdy śliczne dziewczę weszło do komnaty, a zwłaszcza gdy spojrzało nań swemi słodkimi, niebieskimi oczyma, gdy jeszcze, nazwawszy go wujem, podniosło do ust dłoń jego silną, chorąży zmiękł natychmiast. Przypomniał sobie że to sierota, nie mająca nikogo na świecie, i coś jak lwa zakręciło mu się w oku: zaczął znów chrząkać, ale z rozczulenia. Pomyślał sobie, co by było z jego Magdzą, gdyby się znalazła w takim położeniu.

— Sama na świecie w tak młodych latach, a do tego takie to jakieś nadobne a słodkie, że aż za serce chwytą, myślał. Biedne, biedne dziecko, nie dziw, że Magdzia tak ją umiłowała, bo gdy spojrzy na człowieka, to jakoś dziwno koło serca się robi.

Ewa także, może domyśliwszy się uczynionego wrażenia, odrazu uczuła pociąg i zaufanie do nowo poznanego wuja i nie odstraszyły jej nawet siwe, wojowniczo nastroszone wąsy.

Chorąży natychmiast zaczął ją wypytywać o ojca, o rodzinę i o zmarłą opiekunkę, a Ewa z zaufaniem odpowiadała mu:

— Jak to, moja dziewczeczko, tak młoda, a już myślisz zamknąć się w klasztorze? Ależ to być nie może, byś naprawdę czuła powołanie do zakonu...

— Dla sieroty ubogiej, jak ja, jakież jest schronienie prócz klasztoru? — odrzekła Ewa smętnie.

— Jakież? — zżymnął się chorąży. Czyż nie znajdziesz zacnego człowieka, który by cię wziął taką jak jesteś, z tem leżkiem, które ci Bóg dał, co samo za wiano stanie? Moja żona, świeć Panie nad jej duszą, także nie nie miała, i poślubiłem ją dla tego, że była piękna i cnotliwa. Ale — dodał — brwi marszcząc, może ciebie inaczej uczono, może mówiono, że w twoim rodzie wychodzić za szlacheica, choć zanie urodzonego, ale nie skoligaconego z senatorami, jest to skaza w klejnocie herbowym? Mów, — powtórzył gwałtowniej, — wszak tak cię uczono.

Ewa zlekła się takiej indagacji i zarumieniwszy się mocno, spuściła oczy. Chorąży wziął to za potwierdzenie swoich domysłów i mówił dalej rozdrażniony:

— O, ja wiem dobrze, jakie to tam u was panują wyobrażenia! Pewnie ci twoja opiekunka mówiła, że lepiej wstąpić do klasztoru pannie twojego rodu, niż wchodzić w niegodne związki. Pewnie! dla szlacheica zbyt wielki to splendor, gdy się z senatorskim rodem skoligaci. O, znam ja to dobrze!..

— Wujciu, — szepnęła Ewa, której lzy stanęły w oczach, — ja nie dlatego chcę wstąpić do klasztoru, wcale nie dlatego!

— No, no, nie patrz na mnie tak zaleknionym wzrokiem, — rzekł chorąży, odrazu łagodniejąc na ten widok, — myślałby kto, że taki straszny tyran. Ja cię przecie nie winię, tylko tych, co cię chowali w takich zasadach i skazali dziewczynę, coby mogła uszczęśliwić każdego uczciwego człowieka, na wieczne zamknięcie w klasztorze. Niechże licha weźmie wielkopańską pychę! Za moich czasów, dalibóg, zarazby się znalazł jakiś dziarski chłopiec, coby wziął szturmem serduszek, a pannie wywietrzałyby z głowy chęć do klasztoru...

— A co to tatuńcio tam mówi Ewie, że się tak czerwieni? — ozwała się Magdzia, nadbiegając.

— Jaka mi ciekawa: a waćpannie co do tego? — Bo nie chcę, by Ewie kto dokuczał! — odrzekła Magdzia rezolutnie.

— Nie chcę, nie chcę, — proszę co za ton śmiały! — rzekł chorąży, kiwając głową. Oj, musiała ciotka rozpuścić tu waćpanne!

— Niby to tatuńcio mnie nie rozpущcza? — odrzekła Magdzia, wieszając mu się na szyi

— Widzę ja to, widzę! — odrzekł chorąży, niby z westchnieniem.

Po południu dziewczęta zasiadły w sali do krosienek, w których był zaczęty przez kasztelanową ornat, i rozmawiały z sobą półgłosem, dobierając jedwab. W sali nie było nikogo więcej i cisza panowała dokoła.

Nagle z przyległej komnaty doleciały je głosy kasztelanowej i chorążego.

— A mówiłam panu bratu: prędzej, czy później ojcowiska krew się w nim odezwie...

— Czyż mogłem spodziewać się tego? Czyż nie starałem się wpoić w niego stałości przekonania, pomnąc, że brak ich zgubił jego ojca? Czy nie widział w okolo siebie zamięłowania powinności, wiernego zachowywania obyczaju ojców? Jakże mogłem pomyśleć nawet, że praca moja takie plony wyda?

— Zkądże wiecie to wszystko? — spytała kasztelanowa.

— Zaraz wam powiem, — rzekł chorąży. Natychmiast po koronacji, gdy tylu stronników opuściło Maksymiliana, miałem i ja nadzieję. Aż tu przybył pan stolnik z Wielunia i mówi mi, że mój synowiec przeszedł pod chorągwie Zborowskich, że jest u nich w wielkiej estymie i że niektórzy twierdzą, że rewokował dla pozyskania większego jeszcze znaczenia i faworów w ich domu.

— Jezus, Marya! — zawołała kasztelanowa, ależ to hańba dla całej rodziny! Chyba to tylko jakaś fałszywa pogłoska, panie bracie!

— Ja też nie wierzyłem odrazu, ale niebawem przybył pan Tomasz Żelski, dawny partyzant Maksymiliana; ten słowo w słowo potwierdził to, co mówił stolnik. Już ci coś tam być musi, kiedy ludzie gadają.

— Ciężki, ciężki Bóg krzyż na mnie zesłał, pani siostró, drugi raz już mię tak dotyka ręka Boża, może dla tego, że się zbyt pysznił, że żadnej skazy dotąd nie było na moim klejnocie szlacheckim.

— Co już tam boleć, panie bracie, — rzekła kasztelanowa, — co upadło, to przepadło. Któż może was obwiniać o to? Każdy wie, że starałście się jak najlepiej go wychować. Teraz uważajcie go już jako umarłego, i koniec!

— Łatwo to rzec, — mówił chorąży z boleścią w głosie. Przecieć ja go to chowałem od małego, jak własnego syna i miłowałem go tak samo, jak własne dzieci. Ciągłe też myślałem sobie: a może się opamięta, a może wróci? Aż tu grom spadł mi na głowę z jasnego nieba; przepadł chłopiec, bezpowrotnie przepadł.

— Tak, tak, przepadł, i lepiej zapomnieć o nim, — rzekła surowo kasztelanowa.

Magdzia, blada śmiertelnie, słuchała tej rozmowy; słowa chorążego raziły ją jak gromem.

— Co ci to, Magdzu? — zawołała Ewa, przerażona jej bladocią.

Dziewczyna z płaczem rzuciła się jej na szyję, nie mogąc wytrzymać dłużej. Łkanie jej doszło do uszu rozmawiających; chorąży i kasztelanowa weszli do sali i ujrzeli Magdzię zalaną łzami, w objęciach Ewy.

— Co ci jest, moje dziecko? — pytała kasztelanowa zaniepokojona.

— Słyszała wszystko! — rzekł do niej chorąży półgłosem.

Ewa, objawszy Magdzię, odprowadziła ją do ich pokoju na gorze.

Lecz natura Magdzi nie była zdolną do długiej rozpacz; popłakawszy jeszcze trochę, otarła oczy, odgarnęła włosy z czoła i rzekła, podnosząc głowę:

— Nie, to nieprawda, nie wierzę, to potwarz niegodna! zli ludzie wymyślili to, ale ja nigdy nie uwierzę! Zaraz pójdę, powiem tatuńcowi, że go oszukano, że to być nie może nigdy, by Janek stał się odstępcą!

— Jakież to okropne, — mówiła Ewa, ze współczuciem patrząc na Magdzię, — zdaje mi się, że bym nie przeżyła czegoś podobnego. Tak, — dodała po chwili, gdyby ktoś mi drogi upadł, byłoby to dla mnie tak straszne, że nie przeniosłabym tego!

— A jabyśmy przeniosła właśnie dlatego, by go podnieść, — zawołała Magdzia z błyszczącym okiem i dziwną energią w głosie. Nie w tem rzecz by rozpaczać, ale by naprawiać, gdy kto co złego zrobił. Cóż z tego, jeśli będziemy płakać, jeśli ręki do niczego nie przyłożym? Czyż nam prócz łez nic nie pozostaje?

— Pozostaje nam modlitwa, — szepnęła Ewa.

— Modlitwa to nie wszystko, — zawołała Magdzia z zapalem. Ja chcę czegoś więcej, chcę nie dozwolić, by zło się spełniło — i nie dozwolę! Sama jeszcze nie wiem, jak się do tego wezmę, ale mam nadzieję, że Bóg dopomoże!

— A cóż my, słabe dziewczęta, zrobić możemy? — rzekła Ewa. Czy nas kto posłucha, czy możemy iść w ten straszny świat, by tam zło zwalczać? Tylko jedna modlitwa nasza może strzedz od upadku tych, których miłujemy...

I dodała ciszej:

— Dlatego też chcę iść do klasztoru, bo widzę okolo siebie tyle złego, iż strach mię przejmuję, a nie czuję siły z niem walczyć.

— Wielka mi sztuka chować się przed złem! zawołała Magdzia. Właśnie trzeba nie dopuszczać upadku, a nie odwracać się od niego. Ja bo mam taką naturę, że gdy widzę, że kto robi coś złego, to mię taki ogarnia gniew i żal, że gotowam gniewać się, łajać, prosić wreszcie, byle tylko się poprawił. I nie wiem sama nawet, czy wtedy jestem więcej gniewna, czy rozżalona. O, bom ja nie taki anioł, jak ty, Eweciu; owszem, bardzom zła i ze złości chcę zmusić winnego do poprawy. Nie boję ja się tego, że mam słaba dziewczyna, — potrafię i ja dać się we znaki, gdy ze-

chcę! Oho! A taka jestem uparta, że gdy raz co sobie postanowię, to tak być musi, — nikt mię w tem nie przemoże!

— Ale cóż poczniesz, gdy już niema ratunku? — spytała Ewa. Gdy ten, któremu chcesz rękę podać, upadł tak nisko, tak głęboko się pograżył, iż chyba sama się tam za nim rzucisz, ale go nie ocalisz. Nie, tylko chyba takie silne jak ty, Magdzu, mogą coś podobnego przynieść i nie złamać się na duchu. Ja nie czuję w sobie takiej mocy, serce by mi pękło, bo choćby nawet upadły się podniósł, nigdy by już w moich oczach nie odzyskał dawnej wiary; nie przestałabym go mozekochać, ale jużbym nigdy nie była szczęśliwą.

— Więc nie pojmujesz tego, że ten, kogośmy uratowały, droższym nam się jeszcze staje, — zawołała Magdzia z uniesieniem. A mnie już taką Bóg stworzył, że wieczniewym dokoła siebie wszystko poprawiała, gdzie można gwałtem, to gwałtem, a gdzie nie można, to i chytrąsią, bo cóż poczniesz, gdy z nimi innej rady niema? Gdy im co powiesz prosto w oczy, to się gniewają, zżymają, a tak, powolutku, wszystko zrobisz. Ja już w tem doświadczona, — albo to nie mam ich trzech: dwóch braci i tatuńcia? O, z moim drogim tatuńciem także czasem trzeba polityki się trzymać, bo inaczej niedaleko z nim zajedziesz. Ty, moja miła zakonnicco, nie słyszałaś pewno o tem w klasztorze i u babci; ty chodzisz po ziemi, niby anioł, gotowy co chwila, na złe się natknawszy, ulecieć, zakrywając się białymi skrzydłami, — ałem ja tylko niewiasta, nie więcej; mam też swoją przebiegłość i upór niewieści.

Gdy tak mówiła, twarz jej przybrała wyraz energii i coś jakby przelotny błysk dojrzałości zaświecił w jej oczach. Ewa patrzyła na nią z podziwem i niedowierzaniem prawie; rzeczywistość nigdy nie słyszała o czemś podobnym, bo choć cokolwiek starsza od siostry ciotecznej, nie znała niemal zupełnie świata.

Chorąży nazajutrz począł mówić o wyjeździe i zabranu córki do domu. Magdzia, widząc, że ojciec polubił jakoś Ewę, zaczęła prosić, by je obie wziął do Bobrowic. Chorąży zgodził się na to chętnie, i natychmiast poszedł rozmówić się z kasztelanową.

— Wprawdzie jej tam weselej będzie u was, — rzekła kasztelanowa, bo się z Magdzą polubiły jak rodzone siostry, ale mnie starej smutno będzie strasznie, gdy znów zostanie sama w starym domu. No, ale jeżeli i ona życzy sobie, to cóż robić; niech biedactwo trochę się pośmieje z rówieśnikami, dość już przebywała ze starymi, jak ja. Tylko, panie bracie, jeśli tak, to już zaraz nie zabierajcie mi Magdzi, a ja sama odwiozę wam je obie po Trzech Królach, gdyż pierwszej z Ewką musimy pojechać do jej włości w Rawskim, zapisanej jej przez babkę, a wy ponieważ nie możecie dłużej czekać, wracajcie tymczasem do domu, i bądźcie pewni, że wam Magdzię zdrową przywiozę.

— Na Boga, pani siostró, co wam w głowie! — zawołał chorąży. Czy nie moglibyście jazdy onej odłożyć na później? Ja wam towarzyszyć nie mogę, bo mię ważne sprawy gdzieindziej wzywają, a tak samym niewiastom... Oddziały tych Maksymiliańczyków snują się po kraju, uchowaj Boże, mogłyby zaczepić...

— Przecie nie sama pojedę, wezmę cały mój dwór ze sobą, — rzekła kasztelanowa. Obecność nasza jest tam konieczną, bo ot, czytając, co tu pisze wierny sługa, pozostały jeszcze po nieboszcze podkomorzynie. Donosi, że podstarości tamtejszy począł grać rolę pana i właściciela, niszczy majątek i robi straszne nadużycia. Przecież to mienie sieroty, — nie godzi się zezwalać na jej krzywdę; muszę więc tam pojechać i zrobić porządek, bo jak tak dłużej zostanie, to, pisze Piątkiewicz, iż wszystko przepadnie.

Chorąży wiedział, że kasztelanowa była to „hic mulier“ i gdy co sobie raz postanowiła, to nikt ją od tego nie odwiedzie, nie sprzeciwił się też więcej i pożegnawszy się czule z Magdzą, odjechał do siebie na wieś.

Wkrótce po jego wyjeździe i kasztelanowa wybrała się w podróż w towarzystwie obu pańien. Zima poczęła się nieco ustalać i dzień był

jasny, kiedy ogromna sześciokonna landara wyruszyła z bramy kamienicy, a za nią ciągnął dwór nieliczny, składający się po większej części z ludzi podstarzałych, którym przewodził siwy marszałek dworu, Żabicki.

Magdzia nabrała otuchy, gdy w podróż ruszono; odzyskała swoją wesołość i zdawało się, że jakaś tajemna nadzieja krzepiła ją i podtrzymywała. Kasztelanowa rada była temu, bo z przykrością patrzyła, że dziewczę przez parę dni ostatnich tak bardzo posmutniało.

Przejechawszy bramy miejskie, zostawiły niebawem za sobą stary Kraków, a wkrótce i przedmieścia skryły się we mgle i wyjechano wreszcie na otwartą przestrzeń. Magdzia odetchnęła wówczas pełną piersią, bo już ją mury dusić zaczęły. Poczęła nawet śmiać się i szczebiotać, bo była jak ptaszek, który, choć go deszcz zmoczy, nie biada, lecz strząsnawszy piórka, znów poczyną świergotać po dawnemu.

Przez parę dni podróż odbywała się bez żadnych wypadków; popasy i noclegi po wsiach przerywały tylko jej jednostajność. Im bardziej przybliżano się do celu, tem częściej odzywały się narzekania na wojsko Maksymiliana, które, jak mówiono, dopiekło już gorzej Tatarzyna. Szlachta, chłopci, mieszczenie, żydzi, wszyscy wyrzekali, wszyscy wyglądali przybycia wielkiego hetmana, by ich co prędzej wybawił z tej niewoli egipskiej, jak się wyrażano. Starostwo Wieluńskie, jako należące do Koniecpolskiego, stronnika Zygmunta, było zupełnie zniszczone, ale i w dalszych okolicach snuły się liczne oddziały, budząc przed sobą i za sobą przestrach, podobny temu, jaki nieci morowa zaraza.

Pewnego wieczora zatrzymano się na nocleg w Małogoszczy, gdzie była duża karczma murywana. Wylekniiony żyd wybiegł za bramę, lecz zapytany przez marszałka czy ma paszę dla koni, odrzekł, wznosząc ręce do góry:

— Zeby tak moje dzieci zdrowe buli, jak ja mam choć żdźbło siana albo ziarno owsa! Te piekielniki, żeby ich Pan Bóg ciężko skarał, jak tu przyszli! Wczoraj, tak wszystko mi zabrali! Och, ja sam już nie wiem, jak żyję na świecie!... Izby dla pomieszczenia wielmożnych państwa mam, ale ani ludziom, ani bidłciu nie mam co dać jeść.

— No, to wymieć izbę, bo zaraz tu zajedzie pani kasztelanowa, — rzekł marszałek.

Wkrótce karoca zatrzymała się przed karczmą, a marszałek otworzył drzwi od pierwszej izby przed kasztelanową i pannami.

Lecz zaledwie dwór się rozłożył i konie wyprężono, gdy na drodze zatętniało i dostrzeżono oddział zbrojny, nadciągający ku karczmie. Żydówki i żydzieta na ten widok poczęły wrzeszczeć w niebogłosy, lecz żyd czekał na ich przybycie z obojętnością rozpacz.

Nadciągający oddział była to dragonia, oddziałna w sino-żółte barwy Zborowskich. Żołnierze, za zbliżeniem się, mieli ochotę z krzykiem i łajaniem wpaść na żyda, ale dowódzca krzyknął na nich ostro:

— Stać! — i natychmiast wszystko ucichło.

— Wielmożny panie, — rzekł żyd, podchodząc i kłaniając się nisko, — jeżeli chcecie paszy dla koni, to jedźcie do wsi, u mnie nic niema, żeby tak zdrów buł. Ot, pani kasztelanowa zawichostska stanęła n mnie ze swoim dworem, a ja także ani ziarnka owsa nie mogłem dać dla koni, — wczoraj byli tu wasi i wszystko zabrali...

— Któż to był? Czyja chorągiew?

— Czy ja mogę wiedzieć, wielmożny panie? Ja wiem tylko, że wszystko rab... że wszystko brali, co im w ręce wpadło, a jak moja żona zaczęła krzyczeć, to jeden ją uderzył tak, że jeszcze dzisiaj leży. Ale ja wielmożnego pana proszę, by nie pozwolił żołnierzom robić hałasów, bo tu u mnie stoją bardzo zacne panie, to mogłyby się przestraszyć.

Dowódzca obrócił się do żołnierzy, rozkazując im zawrócić do wsi, sam jednak pozostał, jakby go coś jeszcze zatrzymywało przed karczmą.

— Kasztelanowa zawichostska, powiadasz gdzie? — zapytał. Pani Kłoczewska?

— Ny, ja nie wiem; marszałek mi mówił tylko, że kasztelanowa zawichostska.

Okna od pierwszej izby, w której znajdowała się Magdzia, były tak blisko, że cała ta rozmowa doszła wyraźnie do jej uszu; podskoczyła nagle, i korzystając z tego, że kasztelanowa poszła spocząć w alkierzu, jak sarna wybiegła na podsienie, wołając: — Janku! Janku!

W kilka minut później, kasztelanowa, zbudzwszy się, ujrzała z przestrachem, że jedna z powierzonych jej opiece panien gdzieś się zapodziała.

— Gdzie Magdzia? — zapytała Ewy.

— Tylko co tu była, ciociu, — odrzekła zapytana.

Kasztelanowa, słysząc w sieniach rozmowę i brzęk ostróg, wyjrzała przez drzwi i ze zgrozą zobaczyła Magdzię, witającą się poufale i serdecznie z pięknym młodzieńcem w dragońskim mundurze. Ponieważ widywała pana Jana jeszcze dzieckiem w domu chorożego, więc go teraz wcale nie poznała, w tym wysokim, młodym oficerze, który jej się skłonił z uszanowaniem; nie dziw więc, że zacna matrona skamieniała z oburzenia.

— Magdziu, co to jest? — zapytała groźnie.

Magdzia obróciła ku niej swą twarz rozpromienioną.

— To Janek, ciociu, — rzekła, tłómacząc się.

— Jaki Janek? — zapytała kasztelanowa sztywnie, mierzając młodzieńca od stóp do głowy zimnym wzrokiem, choć już się domyśliła kim jest.

— Mój brat, — rzekła Magdzia śmiało.

— O ile wiem, masz tylko jednego brata, — rzekła kasztelanowa surowo. Idź mi zaraz do pokoju! A waćpan, — dodała chłodno, zwracając się do pana Jana, sam chyba uznasz wraz ze mną, iż nie przystoi, by Magdzia z waćpanem tu rozmawiała i postarasz się, by więcej tego nie było.

— O ciociu, wszak ja zaledwie miałam czas z nim się przywitać! — zawołała Magdzia żałośnie. Tak dawno go nie widziałam...

— Idź, dziecko moje, natychmiast, bo to nieprzyzwoicie, by młoda panna rozmawiała na podsieniu z dragonami, — mówiła kasztelanowa zimno i sztywnie, spoglądając na pana Jana, który stał dotąd, nie poruszając się z miejsca, i dodała już surowiej:

— Cóż to, waćpanna opierasz się woli ciotki?

— Ciociu! — zawołała Magdzia rozpaczliwie, — pozwólcie mi chwilę tylko z nim pomówić; kochana, złota ciotuchno!

— Nie prosz daremnie, siostrzyczko, — rzekł pan Jan pocichu, z gorzkim uśmiechem; wiem, że ci nie pozwolą ze mną mówić; jestem zapowietrzony!

Ale Magdzia nie dawała za wygranę; zaczęła kasztelanową po rękach całować, prosić, przypominać się tak, że matrona widząc, że dalszy opór może tylko obudzić ciekawość gawiedzi, zaczynającej już z różnych stron się wysuwać, zezwoliła w końcu.

— Chodź, Janku, ciocia pozwoliła! — rzekła Magdzia ucieszona i pociągnęła go ku otwartym drzwiom. W pośrodku izby stała Ewa, zaniepokojona długą rozmową w sieniach. Ujrzawszy przed sobą tak niespodzianie młodego oficera, cofnęła się, nieco zalekniona.

— Ewciu, to mój brat! — zawołała Magdzia Janku, to moja siostra, Ewa.

Ewa odstała kilka kroków, jeszcze bardziej zmieszana i odpowiedziałwszy zaledwie skinieniem głowy na ukłon głęboki, który jej złożył pan Jan, wysunęła się do przyległej izby, do której wyszła także kasztelanowa.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z HISZPANII.

Madryt, w Kwietniu.

Nie pamiętam tak uroczych obrazów w podróży, jak podczas drogi z Biarritz do Madrytu. Panorama nad brzegiem oceanu jest na tym szlaku bajecznie piękną, mimowiednie myśl odbiega od wszystkich trosk życiowych, nawet celu podróży i roztapia się w zachwycie.

W wagonie, w którym od Biarritz zajaliśmy miejsce, jechało kilka powag lekarskich, spieszących na kongres higieniczny do Madrytu. Uczeni ci ludzie, zapatrzeni w przesuwające się widoki, przestali mówić o czekających ich rozprawach i oczu nie mogli oderwać od nieprzbranych wspaniałości natury.

Przyjechawszy do stolicy Hiszpanii, zastałem pogodę prześliczną. Madryt skąpany w słońcu tętnił pokojem i weselem. Nic nie zapowiadało, że horyzont polityczny tak bardzo jest zaćmiony. W szerokich alejach Paseo de Recoletos (na elegancką ulicą nowej części miasta, gwarno było i tłumno. Damy, jedne w modnych kapeluszach, drugie w zarzutkach koronkowych czarnych, rozmawiały pomiędzy sobą wesoło, ochoczo. Lecz ci, wytwornie ubrani spacerowicze, snuli się w tę i w tamtą stronę, a nie brakło też i dzieci bawiących się pod opieką matek i piastunów. Na wielkim placu Puerta del Sol, ludzie podzieleni na mniejsze i większe grupy, dyskutowali o wiadomościach, wyczytanych w „Imparcial“, „Liberal“, albo „Pais“. Kto jednak zna życie miast południowych, tego podobne gromadzenie się nie dziwi i nikt nie upatruje w niem niczego nadzwyczajnego.

Nie, doprawdy, nikt nie wyglądał wojowniczo i nie jeden, który tu przybył w charakterze korespondenta z „placu boju“, nie będzie zrazu widział, czem swoją korespondencję zapełnić, a każdemu dane jest takie szczęście, jak Prosperowi Merimé, który, szukając w Andaluzji po bitwy pod Munda, zamiast tego znalazł... „Carmen“.

Jeśli nie łatwo jest spotkać drugą Carmen, w każdym razie torreador tak często ukazuje naszym oczom, że musimy i jemu część uwagi poświęcić, szczególnie zaś w tym czasie, kiedy Wielkanocne święta i początek Kwietnia, są zawsze hasłem do pierwszych igrzysk. Niema tu kwestii politycznej, niema takiego społecznego obowiązku, ani zagadnienia, któreby wstrzymały Hiszpana od pośpieszenia na ulubione widowisko walki byków. Gdyby Hannibal stał przed bramami miasta, nie byłby w stanie odciągnąć z cyrku zebranego tłumu.

O walkach tych tyle już pisano, że chyba każdy Eskimos wie, jak się one odbywają. Dla kogoś, kto po raz pierwszy widzi prawdziwą walkę byków, bardziej wstrząsającym, aniżeli sama walka, jest widok tłumu, przepelniającego budynek cyrkowy po brzegi. Widowisko przechodzi wszelkie o niem wyobrażenie i jest prostu wstrętnem.

Miejsca w pierwszych rzędach — Barrera, płatowane są i rozchwytywane na kilka dni przed widowiskiem. Miejsca te od areny oddziela tylko niska, drewniana balustrada, i zdarza się często, że zranione zwierzę krwią swoją oblaże siedzących. Oblicza tych szczególnych sportsmenów przybierają tak ohydny wyraz, wzbudzają dziwną jakąś pogardę i odrazę.

Na widowisku, podczas którego zabito sześciu byków, zauważyłem, że zwierzęta te, podobnie jak i ludzie, różne przedstawiają typy. Były pomiędzy nimi odważne i mniej odważne, były do wściekłości zajadłe, zapamiętałe, i od pierwszego kroku na arenę do walki przygotowane, lecz był też byk jeden, z natury wspaniale łagodny, taki prawdziwy przyjaciel człowieka, że niczem nie było można doprowadzić go do pożądanej szalu. Daremnie piccadorewie klęli go długimi lancami, daremnie przed oczami go powiewano czerwoną chustą, daremnie skł

całą pokluto mu strzałami, biedne, pocziwe zwierzę nie miało wcale ochoty napadać na swoich prześladowców i tylko smutnymi oczami wodziło dookoła. Nareszcie przyniesiono tak zwane „banderillas de fuego” (strzały połączone z wybuchowym pociskiem), i te dopiero zmusiły nieszczęśliwe stworzenie do obrony. Lecz i ta była bardzo niedołązną i szpada torreadora wnet zakończyła tę nudną dla wszystkich część przedstawienia.

Śmieszna jest dla rozsądnego człowieka *gran-dezza*, z jaką torreador zachowuje się w obec rozszalałej publiki. Z dumą bohatera przyjmuje owacy, z przesadą napuszonego aktora przechodzi kołyszącym krokiem przez arenę i kłania się na wszystkie strony z taką miną, jakby wyświadczał zgromadzonym najwyższą łaskę. Guerra, zwany Gueritta, najsławniejszy obecnie torreador, posiadający oburzającą wielki majątek, ukazuje się tylko w nadzwyczajnych wypadkach.

Czem wytłómaczyć sobie, że widowiska te utrzymały się do naszych czasów? Czy mają one być niejako upustem dla namiętnych porywów łatwego do uniesień narodu? Niegdyś tępiono maurów i żydów, dziś zadawalniali się Hiszpanie męceniem byków. Uniesienia barbarzyńskie, które w średnich wiekach ogarniały tłumy, dziś ogarniają publiczność zgromadzoną w cyrku.

Kto wie, czy teoria, że walki byków są owym potrzebnym dla tak namiętnego narodu upustem, nie jest mylną. Może właśnie tego rodzaju widowiska rozbudzają w narodzie żądzę krwiożerczych wrażeń i w charakterze Hiszpanów utrzymują okrucieństwo. Co jest prawdą, nie wiem, ale wiem, że spokojne miasto, wieczorem, po odbytej walce byków przybrało zupełnie inny wygląd.

O 9ej wieczorem zgłęb i krzyki podnosiły się w rozmaitych stronach, na placu zaś Puerta del Sol, gdzie stoi hotel, w którym zamieszkałem, i gdzie gmach ministerium spraw wewnętrznych wznosi swe czerwone mury, zebrał się tłum co najmniej 5-tysięczny i zachowywał się nader burzliwie. Tu i tam wyrzucał ktoś kapełusz w górę i przemawiał głośno, — tu i tam stróż bezpieczeństwa publicznego usiłował uprowadzić z tłumy jakiegoś krzykliwszego wicherzyciela, co nie przeskadzało, że w innym miejscu jeszcze głośniejszy krzyczano: *Viva España! viva el ejército!* (armia) *abajo el gobierno!* (rząd). *Mueran los traidores!* (zdraycy) i t. p. Krzyki owe, jeśli nie wstrząsały tronem Alfonsa XIII, sprawiały jednak bardzo nieprzyjemny niepokój. Patrząc odzwiercyn naszego hotelu zamyka pośpiesznie bramę, przez plac, jedną za drugą, uciekają dziewczęta sprzedające kwiaty.

Za chwilę ukazuje się na koniach straż miejska, odziana w długie, czarne, gumowe płaszcze. Gubernator Sr Aquilera, wysoki, baczysty mężczyzna, z białą brodą, nadjechał w otwartym powozie i kilkakrotnie próbował przemówić do tłumy. Głos jego atoli za każdym razem zgłuszyły okrzyki: *abajo el gobierno! abajo el armistio!* (zawieszenie broni). Manifestacje te trwały prawie do rana.

Dla ludzi spragnionych spoczynku, zwyczaj Hiszpanów, odkładania wszelkich rozruchów do nocy, jest ogromnie przykrym.

Pobożna wielce królowa-regentka, Marya Krystyna, boi się wojny. Nietylko dlatego, że jest pobożną głęboko, ale i dlatego, że jest prawdziwie rozsądną. Mały Alfons XIII, dziecko wątłe, o nazbyt dużej głowie i bladej twarzyczce, było od chwili przyjścia na świat ciężką, nieustającą dla Maryi Krystyny troską. Trzeba było wielkich zabiegów, niezmordowanej pieczołowitości, żeby tronowi hiszpańskiemu małego króla uratować; później znów, kiedy dzięki macierzyńskiej troskliwości i dobrze stosowanym lekarskim środkom, udało się wzmocnić wątłe maństwo, należało myśleć o utrzymaniu tronu dla niego, albowiem tron w Hiszpanii nie jest wiele silniejszy od króla.

Pobożna królowa-regentka obawia się zatem wojny nietylko jako krwi rozlewu, lecz jako wypadku, zgubne mogącego mieć następstwa dla jej syna. Wie ona, że pod pewnymi wzglę-

dami naród hiszpański podobny jest do Francuzów, że i jemu także potrzeba czasem koźłów ofiarnych. Dowiodły tego wypadki lat ostatnich. Kiedy marszałek Martinez Campos udawał się na Kubę, cała Hiszpania przepowiadała poskromienie powstańców od jednego zamachu i nie posiadała się z radości, — tymczasem stało się inaczej i cała Hiszpania nie posiadała się z oburzenia. General Weyler doczekał się nielepszego losu.

Nieszczęśliwy przebieg wojny może stać się dla nieletniego króla katastrofą i Marya Krystyna widzi może w duchu straszny obraz, widzi jak matka jej zmarłego męża Izabella II, po przegranej bitwie uciekała w noc zimną do Pau.

Od Października roku zeszłego czyniono zbuntowanym mieszkańcom Kuby różne ustępstwa i propozycje w nadziei, że tym sposobem powstanie da się uśmierzyć i uniknie się interwencji ze strony Stanów Zjednoczonych. Zaczęło się ofiarowaniem autonomii a skończyło proklamacją zawieszenia broni.

Proklamacja zgnębiła wszystkie stronnictwa. Odczuto ją jako upokorzenie i do tego, upokorzenie zbyt znaczne. Manifestacje na Puerta del Sol nie zasługują na to, aby je brać poważnie, lecz ogół, który w tych manifestacjach nie brał udziału, głębiej pewnie odczuwa daremnie poczynione ustępstwa.

Lud i niższe warstwy hiszpańskiego społeczeństwa, przeświadczone są o swej sile i wyższości. Natomiast sfery inteligentne i ukształcone, nietylko, że się nie łudzą, ale bez cienia szowinizmu, prawie z pesymizmem zapatrują się na walkę z Ameryką. Są i tacy, którzy dowodzą, że znany w dziejach patryotyzm Hiszpanów cudów dokonać może. Tak, tylko że przy pomocy samego patryotyzmu jeszcze się wojen nie prowadzi i, co prawda, dotychczas borykanie się z Kubańczykami patryotyzmu Hiszpanów nie wykazuje.

Pod tym względem, statystyczna tabela jest bardziej pewną i pouczającą, aniżeli patetyczne frazesy. Wojskowe prawo w Hiszpanii pozwala wykupywać się od powinności wojskowej. Cena wykupu od służby w kraju wynosi 1500 pesetas, cena wykupu od służby w kolonjach — 2,000. (Pesetas równa się 40 kop.).

W roku 1894—95, a zatem przed powstaniem na Kubie, suma, osiągnięta z owych wykupów wynosiła 9 milionów. Po wybuchnięciu wojny na Kubie, suma doszła do 27 milionów, w pierwszych zaś miesiącach 97 roku dosięgła 41 milionów. Pomimo więc, że dziejowego patryotyzmu Hiszpanów zaprzeczyć nie można, trudno jednak dowodzić, by z wielką gotowością spieszili pod sztandary szeregów na Kubie.

Zostawmy teraz polityczne sprawy i kwestye zabijania ludzi a poświęćmy słów kilka wręcz przeciwnym celom. Oto celom dostarczania ludzom odżywczych warunków istnienia i trwałego zdrowia.

Od kilku dni gości w Madrycie znaczna liczba lekarzów-hygienistów, którzy zjechali tu z całego świata celem obradowania nad najnowszymi środkami higieny. Starano się tu usilnie, żeby obcym gościom zapewnić wygody i przyjemny pobyt, jeśli zaś tak w programie jak w przygotowaniach do przyjęcia tylu naraz przyjezdnych, nie wszystko było należycie obmyślane, przypisać to należy temu, że Hiszpanie w naturze swej nie posiadają zmysłu organizacyjnego.

Pierwsze posiedzenie kongresu miało miejsce 11-go b. m. Głównym przedmiotem rozpraw była bakteriologia. Jednym z zadań kongresu jest stworzenie międzynarodowego komitetu higieny miast, zadaniem którego będzie wprowadzanie i zastosowywanie do miast europejskich wszelkich ulepszeń na polu higieny zdobytych. Komitet wypracował zbiorowe sprawozdanie, na podstawie dotychczasowych doświadczeń w dziedzinie higieny miast dokonanych. W sekcji bakteriologicznej wybitni byli przemówienia prof. Behringa, oraz prof. Nocard z Paryża, dyrektora szkoły weterynaryj, który z wielką drobiazgowością opracował referat o przyczynach chorób płucnych u bydła.

Obecny na kongresie D-r Polak z Warszawy, niezawodnie kompetentnym piórem opisze ważniejsze szczegóły obecnego kongresu.

Jako miejsce dla następnego kongresu obrany został Paryż.

Przeszło dni kilka i stoimy w przededniu wojny. Lecz tu, w Madrycie, po przejściu owych nocnych, wspomnianych na początku niniejszego listu zaburzeń, nic nie zakłóca spokoju, nic nie zdradza, że się coś nadzwyczajnego w gabinetach ministrów gotuje.

Madryt spokojniejszym się wydaje i cichszym, aniżeli przed kilkoma dniami. Goście kongresowi w większej części rozjechali się już i odjazd ich zaznacza się nawet w ruchu ulicznym.

Na szerokiej Calle de Alcal'a, na owych — Champs Elysées Madrytu w godzinach mniej słonecznych zawsze jest pełno spacerujących kobiet i młodych próżniaków. Wspaniała ta ulica prowadzi do Plaza de Madrid, z kąd równie piękna avenue (aleja) wiedzie do nowej rozległej dzielnicy miasta. Po drugiej stronie placu ciągnie się najwytworniejsza w Madrycie ulica Paseo de Recoletes.

Ulice w Madrycie są po większej części niezmiernie szerokie, niema chyba drugiego miasta, gdzieby z taką rozrzutnością gruntu wykresłano drogi i place. Idąc wzdłuż Calle de Alcal'a ma się w około siebie tyle powietrza, iż trudno uwierzyć, że się kroczy wśród miasta. Przy świetle księżycy ulica ta, z widniejącymi zdala po obu jej stronach białymi murami rozmaitych gmachów i zabudowań, — posiada odrębny, mistyczny jakiś urok.

Na Plaza de Madrid wznosi się ogromny, biały gmach, postawiony z przepychem wielkim. Dowiedziałem się nie bez pewnego zdziwienia, że owa olbrzymia budowla jest Hiszpańskim Bankiem. Przypomniała mi ona gmach Muzeum w Atenach, który patryotyczni mieszczanie zakupili z przeznaczeniem na pomieszczenie nowoczesnej sztuki greckiej. Gmach jest wspaniały, — ale wewnątrz pusty.

Jak powiedziałem, po godzinie 5, kiedy słońce poczyną zwolna rzucać złote swe promienie, na Calle de Alcal'a i na paseo de Recoletas, ze wszystkich stron miasta nadciągają tłumy spacerujących. Kto tylko posiada jakikolwiek stątek do lokomocyi przydatny wyrusza aby niezliczoną ilość razy przejechać po obranej dla spaceru drodze. Dalekim jest się tutaj od wytworności i „szyku“ paryżskich ekwipażów i zaprzęgów, rzadko spotyka się jakiś modniejszy i eleganwszy powóz, ogół ma bardzo staroświecki charakter.

Toż samo powiedzieć można o strojach tutejszych kobiet. Nowości paryżkie przedostają się do Madrytu znacznie opóźnione. Nie często też widzi się prawdziwie piękną młodą dziewczynę, czy kobietę, chociaż wdziękom Hiszpanek wielu poetów poświęcało swoje dytamy.

Łatwo mieć pojęcie jak dalece szerokiemi są spacerowe ulice Madrytu, jeśli nawet w godzinach, kiedy całe miasto ześrodkowywa się w jednym miejscu, przez ulice, szczególnie pod domami swobodnie przejść można.

Atoli przejście w bliskości domów ma jedną bardzo nieprzyjemną stronę. Oto wszędzie pod murami domostw, siedzą, klęczą albo nawet leżą nieprzebrane zastępy żebraków. Tworzą oni istny szpaler, złożony z kobiet, starców i dzieci, odzianych w lachmany, brudnych i nieraz prawdziwie wynędzniałych. Nie brak pomiędzy nimi kalek rozmaitego rodzaju, którzy często dla łatwiejszego wzbudzenia litości, odrzą przejmujące kalectwo wystawiają na widok publiczny.

Miejscowi zapewniają, że nierównie większa liczba jest pomiędzy żebrakami próżniaków, aniżeli prawdziwych nędzarzów. Jest to poniekąd pociechą — albowiem, gdyby te całe zastępy nieszczęśliwych miały istotne prawo do publicznej litości, byłoby to wprost przerażające.

Spacery po ulicach Madrytu chwilami przypominają odwiedzin w szpitalach, co niejednemu, nieprzywykłemu do tego rodzaju widoków, psuje humor i apetyt. Szczęśliwą jest wszakże natura ludzka, wiadomo, że człowiek do niczego nie przywyka tak szybko, jak do cudzego cierpienia.

Na pytanie, z ką w Madrycie bierze się taka moc żebraków łatwo znaleźć odpowiedź. Wielki tu jest brak przytułków i szpitalów.

Do jakiego stopnia żebractwo w Hiszpanii jest spanoszone, dowodzi drobny fakt, opowiedziany mi przez jednego z moich znajomych, stale mieszkających w Madrycie. Pewnego razu dał on małemu chłopcu, który go wzruszył wyrazem ładnej twarzyczki, — 10-cio centymową sztukę. Zanim podziękował, chłopiec rzucił pieniąż na płytę kamienną dla przekonania się, czy nie jest fałszywy. — Przyznam, że nie spotkałem nigdy tak ostrożnego żebraka.

Próbowanie dźwięku monet na bruku jest w Hiszpanii tak ogólnym zwyczajem, że co krok spotyka się starych i młodych, rzucających pieniądże o bruk uliczny. Doszli oni w tem do takiej zręczności i wprawy, że próbowanie to raczej na jakąś grę wygląda. Rzucony pieniąż odskakuje od kamienia i wraca do ręki. Dla uważnie patrzącego, w owem ciągłym próbowaniu pieniędzy przebija się brak ufności, jaką Hiszpan okazuje wszystkiemu, co od rządu pochodzi.

Trudno, co prawda, dziwić się temu. Jedną z najbardziej świecących, a fałszywych monet jest hiszpańska konstytucja. Wszystko, co dla kraju może być dobrem i pożytecznem, jest w niej szczegółowo objęte i zdaleka przedstawia się ona wspaniale. Oóż, kiedy w Hiszpanii każde prawo, każdy przepis, ma dwojakie drzwi, — jedno na pokaz, drugie, otwierane przed przepukstwem i rozmaitego rodzaju szalbierstwem, które prawo obchodzi zdaleka. Ogólne prawo głosowania, w rzeczywistości jest tylko zabawną komedią, powinność wojskowa, zostawiająca tak dużo swobody, pozornie sprawiedliwy podział podatków, wszystko to są złudzenia, które zbliżka omamić nie są w mocy. Pozostaje tylko jedna prawdziwa swoboda, swoboda prasy. Lecz ta, w kraju takim, niestety, jak Hiszpania nie ma dość szerokiego pola do niesienia społeczeństwu pożytku, ponieważ w tym kraju dotychczas trzecia część ludności nie umie czytać i pisać.

Hiszpania wolną jest od przymusu szkolnego, Konstytucja zaś, która nie obejmuje przymusu szkolnego, jest jakoby domem bez okien i światła. Brzmi to może dziwnie, ale jest niezaprzeczoną prawdą, że wszelkie swobody powinny zaczynać się od jednego przymusu, to jest od przymusu szkolnego.

„Madrid, princesse des Espagnes...” — śliczny wiersz, który Alfred de Musset napisał na cześć stolicy Hiszpanii, daleko zrozumialszym jest czytany w Paryżu lub Warszawie, aniżeli w mieście, któremu poświęcony został. „La blanche ville aux serénades...” Bóg wie jak dalekim jest ten obraz od dzisiejszego Madrytu. Prawda, że romantyzm i to najszlachetniejszy romantyzm żyje w każdym wielkim mieście, ponieważ tam, gdzie zgromadzone są tysiące, musi znaleźć się wszystko. Ale jeśli chodzi o romantyczną dekorację, którą opiewali Francuzi z 1830 roku, tej w Madrycie nie znalazłem wcale. Czarne płaszcze na czerwonej podszewce, noszone do dzisiaj przez niektórych mieszkańców, niekiedy widywane koronkowe chusteczki, na głowach dam, są jedynymi pozostałościami z epoki romantyzmu.

Być może, iż przed laty Madryt inaczej wy-

glądał, bardziej po hiszpańsku, dziś jedyną odrębność dosyć brudnego miasta, stanowią owe olbrzymie szerokie ulice i zastępy żebraków.

Madryt powstał na zasadzie obliczeń. Filip II-gi tak samo, jak Napoleon, był istnym geniuszem centralizacji i wszystko, co mu przeszkadzało w równości wykreślonych przez niego figur, usuwał ogniem i mieczem. Wielki ten rachmistrz, piórem we krwi umaczanem nakreślił na karcie Hiszpanii miejsce, obrane przez siebie na stolicę.

Nato, że Manzanarès miał brzegi mniej malownicze, aniżeli Gwadalquivir, że grunt na tem miejscu był płaski, Filip II nie zwracał uwagi, poetą nie był. Wybrał ten punkt, ponieważ zdawało mu się, że umiejscowiony w środku kraju stolicę, uczyni ją strażnicą nad całym państwem. Madryt jednak nie wypełniał nigdy misji, do jakiej został przez Filipa II powołany; dzieło wielkiego rachmistrza zawiodło oczekiwania, co nie wychodzi za regułę, iż często zawodzą one tam, gdzie suchy rachunek zastosować się w zupełności nie daje.

Zetes.

Kronika działalności kobiecej.

W Paryżu, panie Szeliga i Laurent otworzyły teatr „feministe” w którym przedstawiane sztuki dramatyczne mają dokładnie przedstawiać, oświeć i popierać sprawę kobiety, w rozciągłości jej zadań, obowiązków, pracy, praw i krzywd, jakich doznawała lub doznaje. Teatr taki, jako obraz życia gorącym przedstawianego słowem, mógłby wiele przynieść pożytku ogólnemu ruchowi niewieścemu, jeśli tylko nie stanie się jednostronnem wyzywaniem do ciągłego boju, bez wybitnej gotowości do zawarcia polubownego pokoju, który jedynie jest możliwym warunkiem żywotnego postępu tak na drodze dobrobytu, jak i na drodze idei.

— Pani Eugenia Potonie Pierre przewodnicząca towarzystwu „Solidarité des femmes” zamierzyła powagą swego stowarzyszenia wywalczyć rozumną przemianę pod wielu względami w ubiorze kobiet: tak aby estetykę zachować a zdrowiu nie szkodzić. Przyszłość okaże, o ile kobieta rozsądna umie i może walczyć z — modą.

— Do komisji rewizyjnej w Bernie szwajcarskiem przeznaczonej dla zwiedzenia zakładu wychowawczego karnego dla dziewcząt wybrano kilka kobiet, p. Jucher, Helenę Welte-Kammerer i pannę M. Trabold.

— We Włoszech rozpoczyna się więcej ożywiony ruch kobiecy. W Medyolanie w „Związku popierającym sprawę niewieściami” odbyło się wielkie zebranie pod przewodnictwem pani Benco, na którym Dr. fil. panna Paolina Schiff odczytała ciekawe sprawozdanie z wrażenia, jakie uczynił kwestyonaryusz w sprawie kobiecej, rozesłany w ogromnej liczbie egzemplarzy dla zbadania o ile i w jakim kierunku sprawa kobieca zajmuje inteligentne sfery włoskie i rząd. Uchwalono na tem zebraniu założenie dobrze obmyślanego klubu czy stowarzyszenia kobiecego, któreby w miarę rozwoju ogólnych postępowych urządzeń społecznych prowadziło i popierało prawa kobiety. Główne, zasadnicze żądania tego klubu byłyby: Polepszona nauka szkolna, przemysł kobiecy,

położenie kobiety, jako nauczycielki, położenie pracownicy w handlu, artystki i autorki. Roztrząsano również ważne zagadnienia ciężkiej pracy robotnic w podziemnych kopalniach siarki, położenie chorej wyrobnicy, opieki nad dziewczętami, tudzież dużej roli, jaką odgrywa dziś kobieta w dobroczynności publicznej, którego obrót i inicjatywa najczęściej od niej wychodzi. W ogóle omawiane sprawy i stopień ich rozwiązania i opracowania dowodzi wielkiego postępu we Włoszech sprawy kobiecej i coraz trzeźwiejszego na nią poglądu.

Z bieżącej chwili.

— Od d. 1 Lipca projektowane jest zaprowadzenie nowych przepisów przy przyjmowaniu i wyprawianiu przesyłek pocztowych zagranicznych. Wedle tych przepisów, na każdej posyłce wyprawianej za granicę, urząd pocztowy nakleja kartkę, na której mieścić się będzie: a) wyraz „Russie,” b) numer kolejny, c) nazwa w języku francuskim i rosyjskim miejscowości, z której posyłka będzie wyprawiana. Na przesyłkach o zadeklarowanej wartości naklejana ma być prócz tego kartka czerwona z napisem: „Valeur déclarée.”

— Na konkurs im. Paderewskiego nadesłano ogółem dotychczas trzydzieści utworów między innymi: „Lewicę,” dramat w 4 aktach z godłem: „Nad śmierć silniejszą, bądź siłą kochania,” „Walkę dusz,” z godłem „Filopatria,” „Gołąbkę białą,” dramat w 5 aktach (bez godła), „Her-sylię,” dramat w 5 aktach (bez godła), „Opinię,” komedię w 4-ach aktach, napisaną pod pseudonimem „Korwin” (bez godła), „Kubę szatana,” sztukę w 3-ach aktach z godłem „Sumienie jest najelastyczniejszą materią w świecie,” „Trojki,” komedię w 4-ach aktach (bez godła), „Zdanie,” sztuka w 4-ach aktach z godłem „Nil ni vi sub sole.” Termin nadsyłania sztuk upływa jak wiadomo, z d. 1-ym lipca r. b.

— Według obliczenia jednego z geografów francuskich, na świecie istnieje 860 języków i około 500 dyalektów. Na Europę przypada 114, na Afrykę 114, na Azję 193, na Australię 117. Na wielu małych wyspach w Polinezyi mówią takim językiem, którego mieszkańcy najbliższych wysepek najzupełniej nie rozumieją i ze swymi sąsiadami porozumiewają się tylko na migi.

— Artysta malarz Wojciech Kossak, ukończył obecnie wielkich rozmiarów obraz historyczny, zamówiony przez cesarza Wilhelma, przedstawiający epizod z bitwy pod Champ Aubert w r. 1814. Obraz ten będzie pomieszczony na międzynarodowej wystawie sztuk pięknych w Berlinie, którą cesarz osobiście otworzy dnia 23 b. m.

— Z Chicago donoszą, że p. D-r W. Kuflewski, znany polski lekarz, został zamianowany profesorem w zakładzie medycznym „Chicago Clinical Scholl.” Jestto zaszczyt niemi: zwłaszcza, że z pomiędzy siedmiu „instruktorów,” t. j. zastępców, do których przedtem należał D-r Kuflewski, jego pierwszego zamianowano profesorem, skoro opróżniła się katedra chirurgii.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 8 T. II, powieści, p. t. *Masarenowie* przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Psalm odkupienia, przez Helig. — Stanisław Nałęcz-Ostrowski. *Idealy niewieście poetek polskich.* Studium etyczne literackie. — Listy Teofila Lenartowicza do Eli (Izabelli (od 1871—1893 r.)) (dalszy ciąg). — *Bezkrólewie*, powieść historyczna w 2-ach częściach przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — *Z Hiszpanii*, przez Zetes. — *Kronika działalności kobiecej.* — *Z bieżącej chwili.*

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusz 8 T. II. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.